NUMER 15. LWÓW, DNIA 15. WRZEŚNIA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

Zdolny uczeń.



(Do powiastki na str. 122).

Zdolny uczeń.

Janek biegł zdyszany, czerwony, uszczęśliwiony, wprost do warstatu pana Andrzeja, wywołał co tchu Michasia, który w kącie zabawiał się trocinami i pokazał mu młodego kruka, którego trzymał owiązanego w chusteczce.

Janek dostał tego kruka od sąsiada Dykasa, ktory go lubił i chętnie z nim rozmawiał. Dykasa powołano do ćwiczeń wojskowych. Dykas z wielkim żalem z domu odchodził, a Janek przyrzekł mu pisywać o wszystkiem. Dykas na pamiątkę zostawił chłopcu kruka.

Nie wiedział Janek, jak kruka złapano, dość, że Dykas podciął mu skrzydła, żeby nie odleciał i dając go Jankowi, rzekł:

— Możesz go puścić wolno na podwórzu. Wynoś mu wszystkie odpadki, które w kuchni pozostaną, czy to pomyje, czy kawałki chleba. czy kości i odpadki z mięsa, nie ma takiej rzeczy, którejby kruk nie zjadł.

Janek żałował zawsze, że nie ma pieniędzy na kupienie sobie papugi. Najniespodziewaniej zastąpił mu kruk papugę. Razu pewnego spostrzegł Janek, że kruk naśladuje szczekanie psa. Janek był tem ogromnie uradowany i rozśmieszony i umyślnie drażnił kruka, by „zaszczekał“ i śmiał się z tego głośno i serdecznie. — Aż tu nagle. odrazu kruk śmiać się tak poczyna!

— Takiś ty ptaszku! — zawołał Janek, chodź-że tu, stań naprzeciw mnie, słuchaj uważaj i powtórz: kruk, kruk, kruk.

Po długim wysiłku udała się Jankowi sztuczka— kruk powtórzył.

— Brawo! brawo! mam papugę! swojską, czarną i tanim kosztem! — wołał Janek, klaszcząc w ręce i skacząc radośnie — a kruk naśladował jego skoki i ruchy w ogromnie pocieszny sposób.

Od tego czasu dwa razy dnia odbywała się lekcya z krukiem, parę jeszcze innych słów nauczył się mówić i zastosowywał je nawet nie źle.

Mimo, że się kruk przyzwyczaił do Janka i oswoił, odzywała się w nim zawsze natura drapieżnika. Gdy Janek biegł boso przez podwórze, kruk gonił go i kaleczył go w nogę. Raz zabił kurę, a innym razem młodą gęś. Ludzie zaczęli gniewać się o to, że Janek szkodnika chowa — więc zamknięto kruka w izbie. Nudził się nieborak. Prócz Janka, odwiedzał go tylko pies Hektor. Najzażylsza przyjaźń zawiązała się między psem a krukiem Godzinami bawili się razem, a kruk troskliwie wyłapywał napsie owady.

Tak minęło parę dni. Przewinienia kruka poszły w niepamięć i wypuszczano go znowu na podwórze. Po paru dniach znaleziono w drwalni w kącie, tam, gdzie kruk zwyczajnie niedojedzone resztki jadła zanosił — łyżeczkę srebrną, którą matka Janka daremnie szukała. Przekonano się, że kruk ją skradł.

Znowu uwagę wszystkich kruk na siebie zwrócił, sąsiadki zebrawszy się, omawiały kradzież ptaka, przyczem każda opowiedziała jakąś historyę, którą słyszała o krukach.

Przy tej sposobności dowiedział się Janek, że kruk jest ptakiem ogromnie rozpowszechnionym, że znajduje się w całej Europie, prawie w całej Azyi w części Afryki i Ameryki. Jest on drapieżnikiem okrutnym i odważnym. Rabuje nie tylko gniazda małych ptasząt, ale i większe od siebie, silne ptaki, które bronić mogą i umieją napadu w ich gniazdach. Morduje głuszce, bażanty, mewy kuropatwy, kury, gęsi, zające, myszy, zjada ryby, glisty, ślimaki, nowonarodzone jagnięta nawet napada, zabija i je.

Janek pomyślał, że jeżeli to już jest taka natura tego ptaka, to jego kruk jest przecież bardzo ułaskawiony i oswojony i zachowuje się stosunkowo bardzo przyzwoicie.

G. DANIŁOWSKI.

Stare Dzieje.

Urywek z powieści **„Z minionych dni“** przedrukowany za zezwoleniem autora.

Wkrótce po wojnie francusko-pruskiej w tym samym roku, w którym pan Ignacy objął po śmierci ojca gospodarstwo, a dwunastoletni Wiktorek zdobył promocyę do trzeciej klasy, w upalny czerwcowy dzień zajechał na klonowski dziedziniec chłopski wóz, obity łubem.

Z wasągu wysiadł siwobrody mężczyzna, olbrzymiego wzrostu, tęgiej budowy, w podróżnym kitlu, i trzcinową laską torował sobie drogę śród ujadającej psiarni. W sieniach zetknął się z Wiktorkiem, który właśnie pędził co sił zobaczyć, co się stało i uspokoić rozżarte psy.

Chłopak w lot objął ciekawym wzrokiem całą postać gościa, od długich, białych włosów do zakurzonych nosów obuwia i zauważył od razu że ten stary pan ma pod wypukłemi, przekrwionemi oczyma jakby obwisłe torebki, a co ważniejsza od jednej z nich przez całą długość policzka głęboką bliznę. Ten liliowo-czerwony znak silnie zaintrygował Wiktorka, to też, zadzierając czarną główkę, nie spuszczał zeń bystrych oczu Siwy pan również przyglądał się badawczo chłopcu i w końcu spytał:

— Jak ci na imię?

— Wiktor! — zabrzmiała śmiało odpowiedź

— I imię to samo i wykapany konterfekt! — szepnął gość, poczem rzekł głośno:

— Brat jest? mam do niego interes.

Wiktorek wpadł do gabinetu Ignacego, i nagląc do pospiechu, opisywał mu po drodze wygląd przybysza, dopytując się: kto to?

Ale pan Ignacy nie wiedział, a zobaczywszy gościa, nie poznał go również.

— Postański jestem — przypomniał się starzec.

— Ach, to pan! przepraszam... w pierwszej chwili... Ściskając oburącz potężną prawicę, począł się usprawiedliwiać pan Ignacy, nieco zażenowany i jakby wzruszony.

A Wiktorek aż drgnął na dźwięk tylekroć słyszanego nazwiska; błyskawicami przeleciały mu przez głowę i okute kufry na strychu, których nie wolno było ruszać, bo są Postańskiego, i opuszczony dworek pod laskiem, i moc innych rzeczy, przez co doktor Postański stawał się dlań mityczną postacią, pełną tajemniczego uroku.

To też kiedy Postański, zabrawszy kufry i koperty z pieniądzmi, na której dłonią ojca nieboszczyka było nakreślone jego imię, odjechał, a przedtem na zapytanie Ignacego — „cięcie niemieckie?“ — odparł sucho: — „nie! francuskie“ — Wiktorek nie mógł się po prostu uspokoić; zasypywał brata pytaniami, na które ten najczęściej nie umiał odpowiedzieć, i jemu bowiem osoba Postańskiego była przeważnie znaną tylko z dorywczych opowiadań ojca. Wiedział więc, że Postański młodzieniaszkiem walczył przy boku ich dziada, Wiktora, przed czterdziestu z górą laty. Dziad zginął na wałach, a Postański emigrował, skutkiem czego ogromny rodowy majątek przeszedł w inne ręce; ocalały zaledwie Samomęki.

Wiktorek formalnie gorączkował.

Stary wojak, i to z blizną, nie dawał mu spokoju; stawał przed nim w dzień, śnił mu się w nocy we wszystkich rodzajach zbroi, jakie kiedykolwiek widział na obrazkach, aż w końcu chłopiec nie wytrzymał, zerwał się raniutko, okulbaczył kasztankę i pojechał do Samomęk zobaczyć, co się tam teraz dzieje?

Samomęki leżały o osiem wiorst od Klonowa w pobliżu Trupca, ale na przełaj przez pola i łąki było znacznie bliżej, to też Wiktorek w pół godziny znalazł się u celu.

(C. d. n.)



Ciekawy Antek.

(Dokończenie).

Podobnie jak w przemyśle, zmieniły się stosunki na roli. Właściciele gruntów także zapragnęli „wolności“ dla siebie i zaprowadzili ją u siebie. Postanowili, że oni będą wolnymi od wpływu gminy właścicielami, każdemu wolno siać, i sadzić co chce i kiedy chce, kupować, lub w inny sposób nabywać grunta o ile mu się spodoba, a gminie nic do tego. O podziałach oczywiście mowy już być nie mogło. Powstali na roli bogacze, gospodarujący na bardzo wielką skalę i biedacy, głodem mrący. Ci ostatni w wielkiej masie szli do miast i znajdowali w fabrykach zajęcie.

W wiekach średnich wytwarzano w gminie wszystko, czego ta gmina potrzebowała. Można ją było zamknąć, a mieszkańcy nie mieliby żadnego uszczerbku, nie czuliby nawet, że są odcięci od reszty świata. W nowszych czasach, kiedy wytwarzano fabrycznie, maszynowo, są fabryki rozrzucone po całem państwie, tu wyrabiają papier, tam cukier, tu materye, tam guziki itd. Gmina już sobie sama nie wystarcza, odcięta od świata odczułaby brak ogromny. Z czasem okazuje się, że ani państwo, ani część jedna świata sobie sama nie wystarcza. Z Indyj mamy bawełnę, z Chin herbatę, z Ceylonu kawę, z Ameryki korki, kauczuk, z Afryki owoce itd. ,słowem cała Europa, odcięta od reszty świata, odczułaby brak ogromny.

W ciągu postępu cywilizacyi mała jedność rodu zmieniła się na ogromną jedność całego świata!

— Rzeczywiście — przerwał Antek z przejęciem — i to jest cudowne.

Dzisiejsze przedsiębiorstwa przemysłowe — mówił pan Mateusz dalej — dzisiejsze kopalnie, rafinerye, koleje są tak ogromne, że nie są już własnością jednego człowieka, ale należą w znacznej części do licznej spółki bogaczy.

Prawdą jest, że takich różnic społecznych nie było dawniej, jakie są dzisiaj — takich bogaczy, a obok nich takich nędzarzy. Ale kto umie myśleć i patrzeć i kto wie, jak się społeczne stosunki od prastarych czasów pierwotnego wspólnego posiadania same ze siebie rozwijały i zmieniały, ten zrozumie, że dzisiejsze stosunki muszą się zmienić i takiemi, jak są, zostać nie mogą, bo czas nie stoi na miejscu.

W średnich wiekach nie było wielkich hoteli ani wielkich wspólnych domów mieszkalnych, w których żyje obok siebie kilkadziesiąt rodzin; przypomina to raczej prastare domy rodu całego z czasów panowania wspólnej własności; w średnich wiekach nie było wielkich restauracyj, w których ludzie wspólnie jedli; mocarz średniowieczny nie pozwalał podwładnym zbierać się i naradzać w sprawach państwowych — co było w czasach wspólnej własności w gminie pierwotnej i — jest teraz; w średnich wiekach rzemieślnik, rolnik był prawdziwym, jedynym właścicielem swojego wytworu lub plonu swej ziemi — teraz do całe grupy, spółki ludzi, należą kopalnie, fabryki, plantacye, tak jak dawniej w starej gminie, która wspólnie posiadała.

Wiecie co to znaczy? To znaczy, że kiełkuje nowa wspólna własność, nie ciasna wspólna własność jednego rodu, który ród drugi za wroga uważa, ale wielka, nowa, szeroka i piękna wspólna własność wszystkich ludzi na świecie!

Kiełkuje sama, a ludzie rozumni i szlachetni widzą to kiełkowanie i pracują, aby prędzej równość i wspólne posiadanie na świecie nastało.

Mimo to nie doczekamy się jej ani ja, ani wy, ale my już jesteśmy świadkami wielu polepszeń w życiu biednych, ciężko pracujących ludzi. O tych polepszeniach mówić wam nie będę, bo tego pewno nie zrozumiecie jeszcze.

— Zdaje mi się, że rozumiem to — rzekł Antek — sąsiada syn najstarszy, Jan, pracuje teraz w tej fabryce, do której chodzi już nie 12, ale dziesięć godzin, wszyscy w domu są tem ogromnie uradowani, że mają go o dwie godziny dłużej w domu i że się tak nie męczy, a Marynia dostaje u swojej krawczyni o cztery korony tygodniowo więcej, niż dawniej i opowiada, że wszystkim robotnicom krawczyni płacę tak podwyższyć musiała. Marynia może już teraz swoją chorą matkę lepiej żywić i cieszy się tem ciągle. To pewno te polepszenia, o których mówisz ojcze.

— Te i inne jeszcze — rzekł powoli pan Mateusz i położył rękę na głowie syna.

— A wy, chłopcy, przeszliście moje oczekiwania, zrozumieliście i odczuli rzecz trudną i poważną.

To mówiąc, podał p. Mateusz chłopakom obie dłonie — życzę wam byście byli świadkami jaknajwięcej takich polepszeń dla biednych ludzi. P. Mateusz był poważny i wzruszony, chłopcom brzmiał w uszach głos jego, mówiący o równości wszystkich ludzi na świecie, a serca biły im żywiej.

K O N I E C.

ALFONS DAUDET (czyt. Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Giąg dalszy).

IV. Jak Tartarin idzie do Klubu.

O 8-mej wieczorem szedł Tartarin zawsze do klubu — a szedł w pełnym rynsztunku. Czyż rycerz-bohater nie powinien być zawsze gotów do boju? W lewym ręku nosił Tartarin maczugę o żelaznych kolcach, w prawym — laskę ze sztyletem; w lewej kieszeni — bokser, w prawej — rewolwer. Na piersi, między kamizelką, a wełnianym krawatem wisiał nóż malajski. Zatrutych strzał nie brał nigdy ze sobą — taka podstępna broń nie godną jest nieustraszonego rycerza!

Zanim wychodził z domu, ćwiczył się nieco w zacisznej swej komnacie. Wyciągał sztylet z laski i robił kilka cięć w powietrzu. Potem wystrzelał po kilka kul w ścianę, aby wypróbować zręczność swą i siłę. Następnie brał klucz z mieszkania i wolnym, a poważnym krokiem wychodził z domu. Spokój i rozwaga — to jego hasło!

Kroczył tak uroczyście przez ogród, a zbliżywszy się do żelaznych wrót, otwierał je gwałtownym ruchem — zawiasy jękły, a żelazna brama zataczała szerokie koło i uderzała o mur. Gdyby „oni" tam stali, zmiażdżyłaby ich z pewnością!

Wyszedłszy z ogrodu, Tartarin obejrzał się w prawo i w lewo.

O tak późnej porze nie było nikogo na drodze do Avignonu. Ponura cisza zalegała gościniec, w oknach domów pogasły światła, a tylko osamotnione latarnie błyszczały tu i ówdzie migotliwym płomykiem z po za gestej mgły, która unosiła się z nad Rodanu.

V. W Szangaju.

Tartarin nie podróżował nigdy. Nie był nawet w Beaucaire (czytaj Boker), choć Beaucaire leży tuż przy Taraskonie — dzieli je tylko most. Ale most jest długi — Rodan głęboki!.... więc zrozumiecie... że...

Razu pewnego nadarzyła mu się sposobność pojechania do Szangaju. Trzej bracia Garcio-Camus, którzy wyemigrowali z Taraskonu, zaofiarowali mu posadę kierownika jednego z ich licznych biur handlowych w Azyi. Tęsknota, marzenie, nadzieja — miałyż się urzeczywistnić nareszcie? Mógłby być kierownikiem, mógłby być dowódcą całego legionu subjektów i robotników, wszedłby w stosunki z Rosyą, Persyą, Małą Azyą — byłby duszą handlu.

Przytem filia domu Garcio-Camus, którym miał kierować, narażoną była na częste napady Tatarów. Wtedy trzeba było zamykać chyżo wszystkie wrota — subjekci chwytali za broń, rozwijano sztandar — pif! paf! puf! strzelano na Tatarów.

Tartarin powitał ten projekt w najwyższem uniesieniu.... lecz, niestety, obudziła się w nim i druga natura, wygodna, spokojna, mniej rycerska dusza... Rozpoczęła się straszna walka wewnętrzna i... Tartarin pozostał w kraju!

W mieście nie mówiono o niczem innem. Rozpatrywano na wszelkie sposoby ważną kwestyę wyjazdu Tartarina: Czy pojedzie? Czy zostanie? Założyć się? Czy nie zakładać się lepiej?

Tartarin nie pojechał — ale sława jego nie ucierpiała na tem wcale. Przeciwnie! Wszystko jedno, przecież pojechał, czyli tylko miał pojechać do Szangaju!

Mieszkańcom Taraskonu nie czyni to najmniejszej różnicy!

Tak długo i tak wiele mówiono o tej podróży, że w końcu — wielu obywateli myślało, że Tartarin był w Szangaju, że świeżo stamtąd powrócił i wypytywano go w klubie szczegółowo o stosunki Szangaju, o życie, o obyczaje tamtejsze, o klimat, o handel. Tartarin wielce był oczytany, ze zwykłą więc uprzejmością odpowiadał na wszelkie pytania.

Wreszcie — sam w to uwierzył, że był w Szangaju. Opowiadał tedy, jak to przeszło sto razy napadły na niego dzikie plemiona Tatarów.

— Uzbroiłem co rychlej subjektów — mawiał — rozwinąłem sztandar, pif! paf! puf! strzelaliśmy na Tatarów.

Przyjaciele słuchali zdumieni. Wszystkich obecnych przechodził dreszcz przerażenia.

VI. Lew.

Pewnego dnia zgromadzili się wszyscy u Costecalde. Tartarin, jako znawca pokazywał przyjaciołom znakomitą strzelbę, najnowszej konstrukcyi, gdy w tem wpadł, jak z procy, jeden ze strzelców i wołał:

— Lew! lew!

Paniczny strach ogarnął wszystkich. Tartarin opuścił strzelbę. Costecalde zamknął co rychlej wrota.

Wszyscy otoczyli strzelca, pytali go, zaklinali — on ledwie mógł przyjść do słowa. Dowiedziano się wreszcie, o co idzie:

Pogromca zwierząt, Witaine, przybył ze swą menażeryą z Beaucaire do Taraskonu. Miał tu zabawić kilka dni. Woził ze sobą węże, krokodyla i wspaniałego lwa z gór Atlasu.

Lew z Atlasu w Taraskonie! Jak świat światem, nigdy to się jeszcze nie przytrafiło! Twarze strzelców promieniały dumą i radością. Ręce uścisnęli sobie w milczeniu. Tartarin blady ze wzruszenia, podniósł broń i ściskał ją kurczowo w dłoni. Lew z Atlasu tu, o kilka kroków! Najsilniejszy i najwspanialszy zwierz na ziemi, król zwierza, obraz tajemnych marzeń jego!

Krew mu trysła do głowy. Oczy roziskrzyły się, twarz mu pałała.

— Naprzód! — zawołał gromkim głosem i porwał strzelbę na ramię.

Przed menażeryą cisnął się tłum ludzi. Pani Mitaine zapraszała wszystkich do środka.

Gdy Tartarin przybył uzbrojony — spokojni mieszkańce Taraskonu przerazili się niezmiernie. Jakto? więc niebezpieczeństwo jakie grozi, śmierć, zagłada, kiedy on, nieustraszony, strzelbę ze sobą bierze?

Powstał popłoch nie do opisania. Dzieci wrzeszczały, kobiety cisnęły się do wyjścia — po chwili wszystko opustoszało.

Nieustraszony Tartarin nie tracił zimnej krwi. Spokojnie, poważnie, z podniesioną dumnie głową, kroczył w głąb menażeryi. Przed krokodylami nie zatrzymał się wcale. Tak samo nie baczył na węże — obrzucił je tylko pogardliwym wzrokiem, zbliżył się wreszcie do klatki lwa.

Cóż to za widok niezwykły i wspaniały zarazem! Lew pustyni i lew Taraskonu patrzyli sobie prosto w oczy!

Dzieliła ich silna, żelazna krata. Po jednej stronie kraty stał Tartarin oparty o strzelbę, nieco wprzód pochylony. Po drugiej stronie — leżał lew, król zwierząt. Łapy pokrywała mu słoma, którą zaścielona była klatka, oczy mu się iskrzyły.

Odrazu lew się zerwał — może widok strzelby zepsuł mu dobry humor, albo zrozumiał, że ma przed sobą nieprzejednanego wroga, dość, że potężne zwierzę, które spoglądało dotąd na Taraskończyków z królewską pogardą, wpadło w złość i zaryczało okropnie.

Powstał popłoch szalony, tylko jeden Tartarin nie ruszył się z miejsca i mruczał coraz do siebie: Tożto byłoby polowanie!

Gry i zabawy.

I.

Jak odgadnąć można liczbę, którą ktoś pomyślał?

Przyrzeka się osobie, której się chce tę sztukę pokazać, że się odgadnie każdą cyfrę, jaką ona sobie pomyśli.

W tym celu należy tę osobę poprosić by

1) pomyślała jaką liczbę,

2) pomnożyła ją w duchu przez dwa, ale nie mówiła ile wypadło. Gdy liczba pomnożona

3) każemy dodać do niej 4. To wszystko ma dana osoba robić w myśli, a ten który sztukę pokazuje, nie ma wiedzieć o wyniku tych działań. Po dodaniu 4

4) prosi się by całą stąd wynikłą sumę pomnożyć przez 5

5) do tego dodać 12

6) pomnożyć wszystko przez 10

7) z tego odjąć 320.

Teraz dopiero zapytujemy daną osobę ile pozostało po odjęciu 320 z całej sumy.

Od tej reszty odcina się dwie ostatnie cyfry a pozostałe będą tą cyfrą pomyślaną na początku.

Podajemy poniżej przykład dla lepszego wytłomaczenia Czytelnikom tej zabawy:

pomyślaną liczbą niechaj będzie	7
pomnożone przez 2 . . .	14
dodać 4	18
pomnożyć przez 5 . . .	90
dodać 12	102
pomnożyć przez 10 . . .	1020
odjąć 320	700
odcinamy ostatnie dwie cyfry, zostaje pomyślana początkowo	7

II.

Jak woda sama napłynie do szklanki przewróconej dnem do góry.

Przyrzekamy komuś, że pokażemy mu, jak woda sama napłynie do szklanki przewróconej dnem do góry.

By to zrobić należy wziąść zwykłą tackę blaszaną i wylać na nią trochę wody, tak, aby całe dno tacki pokryte było wodą.

Następnie należy wziąść próżną szklankę i obrócić ją dnem do góry ale nie trzymać się tej szklanki pionowo, tylko ukośnie, jednem miejscem krawędzi opartą o środek tacki.

Potem prosi się innej osoby, najlepiej dorosłej, by zapaliła zapałkę i palącą się zapałkę wsunęła do szklanki trzymając ją dopóty, dopóki się nie wypali.

Gdy się jedna zapałka wypali, wziąść zaraz drugą, a gdy ta się wypali — trzecią.

Po spaleniu się trzech zapałek jest powietrze w szklance mocno ogrzane i rozrzedzone; opuszcza się wtedy szybko szklankę dnem do góry, na tackę pionowo.

Szklanki wtedy trzymać już nie potrzeba.

Powietrze w szklance jest rozrzedzone, skutkiem tego, woda sama z tacki do szklanki napływa i podnosi się w niej tak dalece, że powierzchnia wody w szklance znajduje się o wiele wyżej, niż powierzchnia wody na tacy.

Można też położyć na tacy w miejscu, w którem szklankę potem postawić mamy monetę np. koronę.

Gdy woda w szklance podejdzie, korona widziana z boku przez szklankę i wodę wyglądać będzie jak gulden. Można więc pokazując tę sztukę, żartobliwie przyrzec, że się pokaże, jak korona urośnie w gulden.

Nimfy i rusałki.

Pomimo skończonych lat 12-tu, Stefa lubiła drapać się na najwyższe drzewa, jak wiejskie chłopaki. Napróżno tłómaczyła jej francuska bona, przyjęta na wakacye, że dobrze wychowanej panience z liceum takie zabawy nie przystoją.

Zdawało się wkrótce, że przedstawienia bony odniosły skutek pożądany, gdyż na żadnem z drzew parku Stefy już nie było widać, trochę mniej także miała podarte sukienkę; kiedy głośno wołano, przychodziła na lekcyę, lub na dźwięk dzwonu zjawiała się do stołu.

Tymczasem Stefa po prostu wyczekiwała chwili, kiedy bona zajmie się książką, lub robotą i cwałem biegła za park, przełaziła płot i tuż — tuż zatrzymywała się pod wielką olchą, górującą nad gajem, zarosłym chmielem. Niekiedy, rozgrzana biegiem, Stefa przechadzała się po tym gaju ciemnym od gęstej zasłony liści, gdzie ani trawka nie rosła, ani wysoko strzelające drzewka niżej nie rozpuszczały gałązek i tylko w mroku słyszało się ćwierkanie mnóstwa gnieżdżących się ptasząt.

Stefa nie chciała ich płoszyć, przesuwała się cichutko i wkrótce wysmukłe pnie drzewek i chmiel bujny wydawały jej się kolumnami i sufitem wspaniałego pałacu, a ona sama zaczarowaną królewną.

Jednakowoż na wysokiej olsze było jeszcze przyjemniej. Gałęzie rozdzielały się w górze i tworzyły wygodne dla Stefy krzesło. Tam siadywała najczęściej, zanim się jej z domu nie dowołano. Stefa patrzyła na zapuszczony gaj, powstały na miejscu dawnej chmielarni. Z tyczek powstały drzewka, chmiel gęsto przetkał liśćmi ich korony, utworzył się jednolity kobierzec z zieleni. Niektóre drzewka prędzej wyrosły, chmiel i na nie zarzucił swoje gałązki, a wtedy niższe listki drzewek bez światła powiędły i tworzyly się w tych miejscach ciemne otwory w jasno-zielonych ściankach, podnoszących się z rozesłanego na równych drzewkach dywanu, utkanego z palczastych liści chmielu. W te otwory, w te „okna“ patrzyła Stefa z natężoną uwagą.

* * *

Zdarzyło się, że przyjechali raz na wieś krewni, goście. Pomiędzy nimi byli i cioteczni bracia Stefy, gimnaziści z V. i VI. klasy, to też i wieczór późny nadszedł, a ani mama, ani bona nie wołały dziewczynki na nocny spoczynek, chcąc, ażeby się zabawiła w towarzystwie rówieśników.

Chłopcy poszli na folwark do stadniny młodych koników, a Stefa?

— Wprawdzie wydało się to nazajutrz dopiero, ale już teraz trzeba prawdę powiedzieć: oto Stefa siedziała na olsze i....

* * *

Księżyc białem światłem rozjaśniał kobierzec z chmielu. Tak było cicho i srebrno — promiennie! Tylko otwory, „okna“, czerniały tajemniczo wśród uroczej jasności. Tak cudnego widoku nigdy jeszcze tu Stefa nie oglądała za najpiękniejszego dnia, kiedy słońce wśród liści, niby zielonym jednakowo, tyle różnych barw kładło, że do syta napatrzeć się nie było można.

Stefa wychyliła się z „fotelu“ i... marzyła.

Księżyc czarodziejskie rzucał blaski. W wyobraźni Stefy, z głębi „okien“ zaczęły wysuwać się leśne boginki: dryady i nimfy, o których słyszała w powieściach z Grecyi starożytnej.

(C. d. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Helence E. w Skałacie. Serdecznie witamy nową Czytelniczkę. Pragniemy zaznajomić się bliżej z Helenką i prosimy o częste listy.

Leosiowi M. w Stanisławowie. Ciekawi jesteśmy bardzo opisu podróży Leosia i nowych zagadek.

Maryi H. w Przemyślu. Czy Maniusia raz tylko szaradę nam posłała? Mamy u siebie tylko jeden list Maniusi z datą 2. maja, w którym jest szarada nie nadająca się do druku, i łamigłówka (zapytanie) łatwa i znana. Niesłusznie się więc Maniusia niecierpliwi. Może Maniusia spróbuje ułożyć inne zagadki?

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali:

Marya C. z Tarnopola, Helena E. ze Skałatu, Alfred H. z Kołomyi, Mania H. z Przemyśla, Leon M. ze Sttanisławowa, Mania R. ze Lwowa, Herminka S. ze Lwowa, Stanisław S. z Przemyśla, Leontyna B. z Kołomyi, Adaś K. z Krakowa, Kropka ze Lwowa.

Częściowo zagadki rozwiązali: Bronia i Lorcia N. z Tarnopola, Salo G. z Tarnopola, Polskie dziewczę ze Lwowa i Marek S. z Zaleszczyk.

Nagrodę dostaje *Herminka S.* ze Lwowa.

Rozwiązanie zagadek Nr. 14.

1. Zagadka sylabowa

nadesłana przez Henryka S. z Brodów.

Skar**b**
Trucizn**a**
Erfur**t**
Fred**r**o
Algie**r**
Nor**y**

Stefan Batory

II. Zagadka krzyżowa

nadesłana przez Franciszkę C. z Przemyśla.

```
            J
            o
            k
J   a   p   o   n   i   a
            h
            a
            m
            a
```

III. Szarada

nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

mur — rum

IV. Zagadka konikowa

ułożona przez Maniusię W. ze Lwowa.

Pozwól kurze grzędy
Ona zechce wszędy.

Zagadki.

Zagadka.

Nadesłała Różowa Różyczka z Krakowa.

Chłopiec zapytany, ile ma rodzeństwa, mówi: mam tyle braci, co sióstr, a siostra jego, zapytana o to samo, odpowiada, że ma dwa razy tylu braci, co sióstr. Pytanie, ile było rodzeństwa?

Szarada

ułożona przez Leosia M. ze Stanisławowa.

On mię uczy, on mię pieści.
Równocześnie w sobie mieści
Rodzaj żeński i nijaki
Teraz zgadnij, kto to taki?

Łamigłówka

ułożona przez Różyczkę C. i Perełkę.

Z 24 zapałek ułożyć 9 komórek w ten sposób, aby po wyjęciu 4 zapałek, zostało 5 komórek.

Szarada

ułożona przez Jadwinię F. ze Lwowa.

Pierwsze z drugiem, gdy na drodze,
Strzeż się — grozi twojej nodze.
Pierwsze z trzeciem — tak Mazury
Nazywają swoje córy.
Drugie z czwartem — masz w ogrodzie
Czwarte z drugiem — gdy powodzie
Łąkom grożą szybko wznosisz
Wszystko razem — człowiek dzielny
Sławny dzisiaj wódz naczelny.

Kącik dla małych dzieci.

PROMYK.

Anusia dostawała „Promyk“ a nie umiała jeszcze czytać. Dziwnie. A żebyście wiedziały jak lubiła „Promyk“, jak czekała na to, żeby pan listonosz „jej gazetkę“ przyniósł!

Mamusia czytała jej piosenki i powiastki z „Promyka“ i o tem, jak się rozmaicie dzieci bawić mogą, a Anusia słuchała i próbowała tak się bawić z Mamusią i braciszkiem i siostrzyczką. Anusia lubiła też oglądać obrazki w „Promyku“.

Nigdy nie podarła „Promyka“, bo takiej gazetki się nie drze. Czasem chowała go sobie pod poduszkę, gdy szła spać, a rano, gdy się budziła, czasem budziła się wcześniej od mamusi — wyciągała go z pod poduszki, „czytała“ obrazki i *o* z „Promyka“. Na „Promyku“ nauczyła się czytać *o*; wiedziała, że kółeczko to *o*.

Anusia była bardzo wesoła i lubiła figielki. Gdy maleńki jej braciszek, Henryś, który nie umiał jeszcze mówić „Promyk“, ale mówił „Pjomyk“ napierał się czego grymaśnym, stękającym głosem, wołała Anusia na niego:

„Co to za śpiew? to może piosenka? może poszlemy ją do „Promyka“, żeby się wszystkie dzieci tak nauczyły?“

Wtedy Henryś zaraz przestawał jęczeć i kwilić, bo przecież się wstydził, aby od niego inne dzieci taki zły przykład sobie wziąć miały.

Anusia lubiła takie słowa, które „się zgadzały“. Mamusia nazywała to „rymy“. I gdy jej się udało wynaleźć takie rymy, cieszyła się i klaskała w rączki: „do Promyka! napiszemy do Promyka!“ Anusia wiedziała, że w „Promyku“ takich dziecięcych rymów nie piszą, ale żartowała i śmiała się ze swoją Mamusią. Razu pewnego powiedziała wierszyk taki: „do gimnastyki, trzeba zdjąć buciki“ i ogromnie się tem cieszyła i śmiała się z tego.

Razu pewnego przeczytała Mamusia Anusi w „Promyku“ wierszyk, który Anusia wnet powtarzać umiała i który mówiła małemu Henrysiowi, gdy on się rano przy myciu — bał wody:

Co minuta kotek myje,
Łapki, pyszczek, uszka, szyję.
Dziatwa często zapomina,
Że się codzień myć należy,
A czyż nie wstyd, by kocina,
Czystszą była od młodzieży!*)

MIÓD.

Dzieci jadły śniadanie. Każdemu dała mamusia kromkę chleba z masłem i z miodem. Miodu było dużo, ściekał im po paluszkach i po buzi. Ignaś oblizywał troskliwie palce i buzię,

*) (Wierszyk Władysława Bełzy).

śniadanie bardzo mu smakowało i coraz powtarzał: dobly, bajdzo dobly!

Ewcia przyszła do śniadania ostatnia, nigdzie jej mamusia znaleść nie mogła. Ewcię odprowadziła do domu Magdusia, sąsiadka, gdy tamte dzieci już jadły. Magdusia przeprosiła mamusię, że Ewcię tak długo u siebie zatrzymała, ale robiła masło i Ewcia przypatrywała się temu.

Gdy dzieci to usłyszały, zasypały Ewcię pytaniami:

— Ewusiu, powiedz nam, jak się robi masło?

— Magdusia ma taką maślnicę — opowiadała Ewcia — jak nasza do zabawy, tylko ogromną, taką dużą, jak Ignaś. Do tej maślnicy leje Magdusia śmietanę, przykrywa maślnicę i długo ubija tym drążkiem, na końcu którego jest krążek drewniany, podziurawiony. Może ze dwie godziny ubijała Magdusia tak śmietanę w maślnicy. Potem otworzyła maślnicę i...

— I było naprawdę masło, zamiast śmietany? — przerwały jej dzieci.

— Było w maślnicy dużo śmietany; Magdusia mówiła, że to nie jest śmietana, tylko maślanka, a w niej pływały kawałeczki i grudki masła. Magdusia maślankę wylała do dużego garnka, a masło wyjęła i wrzuciła do miski z wodą. Tam jeszcze długą chwilę mięszała, płukała i przerabiała je łyżką, aż się zrobiła z niego jednostajna masa, jeden kawał, który wyjęła z tej wody i na talerzu zaniosła do piwnicy.

Mamusia przyrzekła dzieciom, że gdy na przyszły raz Magdusia będzie masło robić, pozwoli im wszystkim przypatrzeć się temu.

Dzieci jadły przez chwilę jeszcze w milczeniu. Aż Jadzia zapytała, oblizując sobie paluszki: — a jak się robi miód?

Wszystkie dzieci zwróciły na mamusię zaciekawione oczęta i wyczekiwały jej odpowiedzi.

Mamusia odrzekła:

— Miodu nie robią ludzie, tylko pszczoły.

— Pszczoły?! — zawołały dzieci zdziwione, te, które tak brzęczą i kłują i których się obawiamy? Jak to może być, aby takie małe stworzonko coś robiło?

— Widzieliście już pewnie pszczoły na kwiatkach? — zapytała mamusia. — Otóż pszczoła wysysa z kwiatka sok, który u wielu roślinek jest słodziudki i połyka go. Z tego soku robi się w pszczółce we środku, w jej żołądeczku miód i wosk. Ona tego właściwie nie robi, jak n. p. Magdusia masło, ale robi się to w niej samo, jak n. p. w waszej buzi ślinka. Wosk wydaje ona malutkiemi, cienkiemi tabliczkami z ciałka swojego, a te tabliczki woskowe układa sztucznie bardzo jednę koło drugiej, tak, jak wy klocki sobie układacie, budujo sobie z nich maciopkie komóreczki. Umie ona lepiej i ładniej od was budować i o wiele równiej i mocniej. Jej komóreczki są wszystkie równiusieńkie i nie tak łatwo można je zburzyć, jak wasze te bramki z klocków. Pszczółka spaja malutkie woskowe ścianki lepką ślinką. Ale poczekajcie — pokażę wam to.

To rzekłszy, poszła mamusia do szafy i przyniosła na talerzu plaster miodu.

— Popatrzcie, ile tu malutkich komóreczek!

Dzieci pochyliły się nad plastrem i aż krzyknęły ze zdziwienia. Jedna koło drugiej gęściutko były takie maciopkie, graniaste pokoiczki, takie małe, że nawet dorosła pszczółka nie mogłaby zmieścić się w nich cała.

Widzicie, to wszystko zbudowały pszczółki, wydały te ścianki wosku i jedną do drugiej tak zlepiły. To są pokoiki dla ich dzieci i dla ich jajek i — garnuszki na jedzenie, a raczej spiżarki. Taki duży arkusz tych komóreczek nazywa się plastrem.

Gdy plaster już gotowy, wydaje pszczółka po kropelce miód, który się z soku kwiatków w niej zrobił i napełnia nim woskowe komóreczki.

Te drewniane domki, niby wysokie skrzyneczki, w których pszczółka buduje plastry, nazywają się ulami.

Ludzie umyślnie ule dla pszczółek stawiają. Ul jest domkiem pszczółek.

Pszczółka jest delikatnym stworzonkiem w zimie, gdy bardzo jest zimno na dworze, nie wychodzi z ula, bo mogłaby zamarznąć. Małe dzieci też w mrozy z domu nie wychodzą.

Gdyby nawet pszczółka mogła wylatywać w zimie, nie znalazłaby na dworze żadnego jedzenia. Kwiatków w zimie nie ma, tylko śnieg wszędzie leży, a śniegu przecież jeść nie może.

Wtedy pszczółka je miód, który naskładała sobie w lecie i żywi nim swoje dzieci.

Pszczółka na to składa w lecie miód, aby mieć co jeść w zimie.

Ewcia odłożyła pospiesznie swoją kromkę chleba.

— To po co my jej miód zabieramy? — będzie w zimie głodna!

— Nie dziecko — odrzekła mamusia. — Ludzie, którzy hodują pszczoły, robią w ulu miejsce na dużo plastrów miodu, o wiele więcej, niż dla tych pszczół potrzeba. W ciągu lata, wtedy, gdy jeszcze kwiatki kwitną, zabierają parę razy plastry z ula, a pszczółka robi sobie nowe. Pod jesień zostawia się pszczółkom tyle miodu, ile one potrzebują na zimę, a resztę ludzie zabierają na sprzedaż lub do własnego użytku.

— Trzeba wam wiedzieć — mówiła dalej mamusia, że w ulu nie mieszka jedna pszczółka, ale całe mnóstwo pszczółek, cały rój. Gdy pszczółki wylatują po sok kwiatowy, każda wraca do tego ula, w którym mieszka, a nie do innego.

W tej chwili coś zabrzęczało. Przez otwarte okno wleciała do pokoju pszczółka i usiadła na stole, na kropli miodu, która tam kapła, gdy mamusia chleb dzieciom smarowała. Pszczółka lizała chciwie miód pyszczkiem.

Dzieci nie przestraszyły się jej tym razem, tylko przypatrywały się uważnie, ciekawie i przyjaźnie, a mały Ignaś, który przecież coś zrozumiał z mamusinego opowiadania, rzekł: Dziękuję pscólko za doble śniadanie!

Wydawc. odpow. redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.** Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.